

Na miesiąc Luty.

Nr. 22. Poznań, dnia 15-go Lutego 1908. Rok I.

Sprawy Towarzystwa Łowieckiego.

Do Towarzystwa Łowieckiego w dalszym ciągu przystąpili:

64. Zofia Plucińska z Lussówka.
65. Leon Trzebiński z Berlina.
66. Stanisław Thiel z Doruchowa.

Wydział Towarzystwa Łowieckiego.

Protokół Walnego Zebrania Towarzystwa Łowieckiego.

Działo się w Poznaniu w hotelu Francuskim dnia 26 stycznia 1908.

Prezes p. Wł. Janta-Połczyński zagaja posiedzenie, proponując na przewodniczącego pana Kęszyckiego, gdyż sam dla licznych referatów, które w zastępstwie nieobecnego sekretarza i skarbnika zdawać jest zniewolony, z potrzebną uwagą przewodniczyćby nie mógł. P. Kęszycki obejmuje przewodnictwo i powołuje do pióra p. Stan. Kurnatowskiego z Pożarowa.

Po przyjęciu proponowanego porządku dziennego odczytuje prezes obszerne sprawozdanie roczne, które już ogłoszone zostało w naszym organie tak samo zdaje detaliczne sprawozdanie kasowe, które wykazuje pomyślny stan finansowy, objaśnia też, iż książki i dowody kilkakrotnie przeglądał i znalazł wszystko we wzorowym porządku. Na wniosek p. Brownsforda odstępuje Walne Zebranie od wyznaczenia komisyi do rewizyi kasy i udziela nieobecnemu skarbnikowi deszarży.

Kwestyę lokalu klubowego postanowiono dla braku dostatecznych funduszów odłożyć do roku przyszłego, natomiast wyznaczono fundusz dostateczny na urządzenie biura Towarzystwa w Poznaniu, składającego się z dwóch pokoi, które stawia się prezesowi do dyspozycyi.

Sprawa urządzenia pierwszego konkursu strzeleckiego, wywołała ożywioną dyskusyę. Postanowiono zlecić Wydziałowi urządzenie takowego przed 1 maja, jeżeli dostateczna

ilość uczestników pomiędzy członkami Towarzystwa się znajdzie. Strzelać się będzie śrótówką do rzutków (gołębi asfaltowych) i kulą do stałej i ruchomej tarczy.

Bliższe warunki opublikowane będą swego czasu w organie Towarzystwa.

Premiowanie psów myśliwskich, jako rzecz u nas jeszcze niedojrzałą, postanowiono odłożyć do roku przyszłego.

Do Wydziału na przyszłe 3 lata wybrano:

Prezesem: p. Wł. Janta-Połczyńskiego z Redgoszczy.

Wiceprezesem: Hr. Gorzeńskiego Ostroroga z Tarc.

Łowczym: p. Unruga z Piotrowa.

Skarbnikiem: p. St. Kurnatowskiego z Pożarowa.

Sekretarzem i bibliotekarzem: p. Z. Plucińskiego z Lussówka.

Syndykiem: p. mecenasa Dr. Celichowskiego z Poznania.

Przewodniczący zamykając posiedzenie, dziękuje Wydziałowi za dotychczasową skuteczną działalność i prosi W. Zebranie o zaznaczenie tego przez powstanie, co też następuje.



Kilka słów o tępieniu drapieżników.

Napisał *Nemrod z nad Warty.*



Tak jak rolnik po ukończonem żniwie nie traci chwili czasu, by przysposobić swą glebę do dalszego plonu i wydajności, tak też i dla myśliwego prawdziwego po ukończonym sezonie łowów, rozpoczyna się czas ochrony, pielęgnowania i tem większej opieki nad zwierzostanem.

Do tego tak ważnego obowiązku każdego z nas myśliwych należy w pierwszym rzędzie tępienie drapieżników. Zdobywszy pod tym względem nie jedno doświadczenie pragnąłbym się niem podzielić z czytelnikiem „Łowca". Może, że nie powiem dla niejednego nic nowego, lecz w ilu też łowiskach naszej Wielkopolski znaleść można taką myśliwską opiekę nad zwierzostanem że przypomnienie obowiązków dla niego byłoby zbyteczne?

Zdaje mi się, iż pod tym względem możnaby wiele jeszcze dobrego zdziałać, mianowicie, iż nie często spotykamy między naszymi urzędnikami leśnymi ludzi z tak rzadką wrodzoną pasyą dla myśliwstwa, a przedewszystkiem z pasyą do tępienia drapieżników.

Jeszcze z strzelbą chodzić po knieji i raz poraz „buchnąć“ gdy jakie psisko obce rewiruje po lesie, i otrze się o nogi prawie, lub kot usiądzie na drzewie, o takie czyny łowieckie panu t. n. borowemu nie tak jeszcze trudno, ale n. p. o prawidłowem zastawieniu denkowego lub berlińskiego żelaza na lisa, kunę, tchorza, lub jastrzębia ów pan w najczęstszych razach pojęcia niema, lub też może uważa to za zupełnie nie potrzebne do swego fachowego wykształcenia. Lecz nie możemy znów całą winę spędzić na niego samego, byłoby to niesprawiedliwie. To złe polega moim zdaniem też bardzo często na samym właścicielu łowiska, który może będąc smakoszem pierwszej wody, lubiącym z rozkoszą spożywać dobrze przyprawianą zwierzynę, ściągnąwszy przytem znaczną za sprzedane kozły, kury i zajączki mamonę nie troszczy się poza tem o byt zwierzostanu przez rok cały. Opiekunem zaś jego łowiska jest zwykle emerytowany (gorzej jeszcze jeżeli czynny) kuchmistrz, kamerdyner lub stangret, „w dowód prawdziwego zaufania.“ Na zagładę resztki zwierzyny i leśnego gospodarstwa kroczy dumnie ów faworyt z rusznicą po opustoszałym rewirze. Tym to podobne warunki są częstym powodem, iż niejeden las w naszej Wielkopolsce stoi smutnie, ponuro i bez życia już nie jako „panna bez wdzięku,“ ale powiedziałbym jako „cmentarzysko czarownic.“

Służbie leśnej powinni właściciele naszych łowisk świecić przykładem pod względem ochrony, opieki i pielęgnowania zwierzostanu. Zainteresowanie z góry idące wzbudza je u podwładnych tak samo podniecа ich ambicyę. Ileż to razy łaskawy Czytelniku polując w naszych łowiskach przekonałeś się, że choćby u najlepszego strzelca, ale prawdziwego myśliwego roiło się podczas łowów od zwierzyny, a tuż obok o miedzę, gdzie to niby strzał nie padł od roku („t y l k o d o k r ó l i k a“) właściciel łowiska zdawszy opiekę zwierzostanu służbie leśnej, konstatuje po łowach, że zwierzyny niema. Odpowiedzi i ekskuzy na interpelacye złego rezultatu łowów są zwykle jedne i te same. Wspomina się tedy o złym sąsiedzie, który wszystko bije co mu pod rurę wyjdzie, mówi się o częstych i gęstych deszczach podczas lęgu, dowodzi się wreszcie, iż zwierzyna była nawet temu dwa tygodnie, ale się niestety gdzieś wyniosła; a ja śmiem twierdzić, że nie są temu winne powyżej podane argumenty tylko winę ponosi właściciel łowiska w pierwszym rzędzie, a w drugim dopiero jego służba leśna. Ta ostatnia nie mająca dość nacisku z góry i przykładu, nie mająca wreszcie dostatecznie fachowego wykształcenia, a mianowicie pasyi zawodowej, jest może coprawda zainteresowaną zwierzostanem, ale li tylko przy otwarciu sezonu polowań, zresztą mało się o niego troszczy. Sądzę wreszcie, iż właściciele rewirów nie dość wysokie premje strzałowe płacą służbie leśnej, mianowicie za tępienie drapieżników. Każdemu rewirowemu leśnikowi powinien właściciel własnym kosztem dostarczyć dostateczną ilość żelaz, łapek itp., coby z pewnością wzbudziło większe zainteresowanie się tą sprawą, a wyłożone pieniądze w jaknajkrótszym czasie się wrócą. Trochę zeszedłem z właściwego tropu za co Czytelnika przepraszam i zawracam do właściwego tematu.

* * *

(Owszem, ta rzecz jest w zupełnej łączności z powyższym tematem i Szan. autor poruszył tutaj kwestyą nadzwyczaj ważną, o której w dzisiejszym artykule „Łowiec a leśnik“ obszernie się rozpisaliśmy.

Do tegoż odsyłamy tak autora jak i czytelników naszych, nadmieniając tylko jeszcze, iż samem zakupnem żelaz i wyznaczeniem pensji, według naszego mniemania poprawy się nie osięgnie.

Przedewszystkiem należy zainteresować leśników naszych do łowiectwa t. j. wyrobić u nich większą pasyą myśliwską, a to osiągnąć tylko można obok przypuszczenia do udziału w polowaniu — przynajmniej do pewnej granicy — większą oświatą i rutyną.

Dotychczas mieliśmy wygodną wymówkę, iż nie było pisma fachowego. Dziś zaradzono temu przez założenie naszego „Łowca“, w interesie więc każdego właściciela rewiru leżeć powinno, ażeby leśnik jego był tegoż czytelnikiem.

Cóż pomogą wszelkie premie, wszelkie zakupna samotrzasków, jeżeli leśnik nasz obchodzić się z niemi nie potrafi.

Czy tak nie jest? Powołujemy się nie tylko na własne doświadczenie, ale i na świadectwo tylu innych właścicieli łowisk nie wyjmując i Szan. autora. Przyp. Redakcyi.)

Zaczynam go kwestją o lisie. Baczną uwagę na tego czerwonego filuta powinien zwrócić każdy z nas, a mianowicie ten, który chowa bażanty. Często wydaje się nam, że go nie mamy, aż dopiero ponowa zdradza jego bytność, lub przynajmniej odwiedzanie nocne naszego łowiska. Wędrówki jego nocne są cóprawda zbyt dalekie i niema zakątka w okolicy, któremuby nie by oddał swej wizyty. W nr. 19 naszego Łowca p. S. S. podaje nam przepis na tępienie lisa orzechami zaprawianemi strychniną. Przyznam się, iż wogóle operowanie strychniną nie jest mi sympatyczne już dla tego samego, iż łatwo wyżeł, wierny towarzysz naszych łowów, życiem je opłacić może. Za to z pasją pracujemy contra p. Mikicie żelazem metodą Ernsta. Ów p. Ernst (E. Ernst Sten· dell b. Passow U/M) preparuje t. zw. przynętę lisią (Fuchswitterung)*) wydającą zapach, do którego lis ciągnie jak czajka do wody. O ile przekonać się mogłem, składa się ona z siekaniny skóry, kopyt, mięsa itp., a wydaje tak silny zapach, iż otwierając puszkę co dopiero nadeszłego preparatu z poczty o mało co nie zginąłem marnie od zaduchu. Żelazo używam Grella z Haynau nr. 11b z łańcuchem i kotwicą. Metoda Ernsta polega na tem, iż lis idący na swym zwykłym przesmyku za żerem, posuwa się o ile możności zwykle *pod wiatr.* Obok więc żelaza założonego kładzie się dwa kawałeczki przynęty i to *od strony wiatru*, w ten sposób by lis mający zamiar dostać się do przynęty koniecznie w żelazo wdepnąć musiał. Na dowód jaką przynęta Ernsta ma prawdziwie niezwyciężoną siłę na powonienie p. Mikity pozwolę sobie przytoczyć fakt, który się zdarzył w moim rewirze. Otóż w roku zeszłym znalazłem z mym leśnikiem w zastawionem żelazie prawą przednią lisią łapę urwaną od resztki nogi mniejwięcej w kolanie. Lis musiał widocznie tak długo ujeżdżać w około,

---

*) Według terminologii polskiej »przywiatr« Przyp. Red.

aż się ścięgacze nie urwały. Byliśmy oboje rozczarowani i zachowawszy ów corpus delicti do kieszeni, zastawiliśmy żelazo powtórnie na tem samem miejscu. Nazajutrz zato było zadowolenie po naszej stronie, bo już zdaleka ujrzeliśmy lisa siedzącego w żelazie. Dawszy mu kilka śmiertelnych uderzeń kijem po wietrzniku, przekonaliśmy się z radością, iż był się znów złapał ów lis wczorajszy, ponieważ u prawej jego nogi brakowało łapy, która przyłożona do reszty nogi tworzyła jedną należącą do siebie całość. I gdzież tu mówić o jakimś nadzwyczajnem lisim rozumie i przebiegłości?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pojedynek bez sekundantów.



Koszlon i Kopyra rozstrzygają dyferencye powstałe w sprawach miłosnych.

III. Łowiec a leśnik.

Nie tylko z artykułu p. Pobereżnika, ale również przy innych sposobnościach zauważyliśmy, jeżeli już nie wręcz wrogie, to z pewnością obojętne stanowisko leśników naszych wobec łowiectwa i zwierzyny. Gdy zwróciliśmy się do jednego z leśników i to z wykształceniem akademickiem, prosząc o zasilanie „Łowca" artykułami, odpisał nam: „Trudno pisać o rzeczy, z którą nie mam nic do czynienia i wolałbym raczej, żeby nie istniała". Jest to odpowiedź znamienna i przyczyny jej szukać należy dalej, jak w przypadkowej niechęci u poszczególnego osobnika.

Nam się zdaje, iż posiedziciele wielkich obszarów leśnych, będący sami pasyonowanemi myśliwymi, za mało dają sposobności wykonywania łowiectwa, nawet wyższym urzędnikom leśnym. Skutkiem tego widzą oni w zwierzynie tylko szkodnika, który mozolną pracę ich w kulturach niszczy, sprawia im wiele zabiegów, kłopotu i przysparza czynności, nie dając im w zamian żadnego ekwiwalentu.

Nie możnaby to odmienić, dając im sposobność do polowania?

Rozumiemy to dobrze, iż zamiłowanemu łowcowi trudno pogodzić się z myślą, ażeby ktoś odbijał mu najkapitalniejsze byki i kozły. Wartość strzału do tak grubej zwierzyny jest dzisiaj zbyt wielka, ażeby zrezygnować z tej przyjemności na rzecz innej osoby. Rozumiemy to zupełnie, ale przecież nie chodzi jedynie o polowanie i ubicie tak rzadkiego u nas już zwierza. Jest jeszcze tyle innych sposobności do wykonywania łowów jak np. przy nagankach na zające i bażanty, przy odstrzeliwaniu kóz i łań starych i jałowych, tępieniu drapieżników i t. p.

Są to wszystko okazye myśliwskie, przy których nawet najwięcej zamiłowany właściciel myśliwy może i powinien przypuścić do współdziałania w łowach swych urzędników leśnych.

Odstrzelenie starej, do rozpłodu niezdatnej zwierzyny ze względów praktycznych najlepiej powierzyć doświadczonemu, z zwierzostanem własnego łowiska obeznanemu leśnikowi, który zna dokładnie i ostoję ich i całą chmarę, jak dobry owczarz swoją gromadę. Takowy wykona z pewnością nie łatwe to zadanie sumienniej jak każdy inny — nie wyjmując nawet właściciela łowiska.

A cóż dopiero mówić o obcym, na jedno lub dwudniowe polowanie z naganką przybyłym gościu. A wszakżeż tak często się dzieje, iż z pominięciem urzędnika knieji t. j. leśnika, oddaje się nieraz zaproszonym frycom tak niełatwe do wypełnienia zadanie. Skutki są też zwykle po temu: padają zdatne do chowu matki, podczas gdy jałowe uchodzą i wyzyskują nadal siły rozpłodowe rogacza. Odstrzelanie tego rodzaju, mające na celu normowanie stosunku rodzajowego zwierzyny szlachetnej, winno się odbywać tylko na podchodnym lub podjezdnym, a wykona to najdokładniej urzędnik leśny.

Przy polowaniach z naganką nie należałoby również usuwania tegoż od udziału czynnego z strzelbą. Gdzie padnie przy sześciu strzelbach 800 do 1000 zajęcy, tam doprawdy dopuścić można do strzału siódmego

strzelca, choćby przy tem ten i ów z gości kilkanaście mniej wystrzelił naboji i z mniej napuchłym do domu powrócił policzkiem. Bo jakżeż łatwo postawić się w przykre położenie człowieka z delikatnem uczuciem i wyższem wykształceniem, gdy przy tego rodzaju okazyach daje mu się tylko podrzędną rolę kierownika obławy bez zezwolenia użycia strzelby.

Spodziewać się tylko można, iż zaufaniu takiemu sprosta, ocenić je potrafi i go nie nadużyje. Oddanie leśnikom tępienia wszelkich drapieżników i szkodników, jako zupełnie naturalne i konieczne, moglibyśmy pominąć, gdyż przypuszczam, iż dzieje się to z pewnością wszędzie, ale czy w sposób zupełnie racyonalny, to i w tym wypadku śmielibyśmy powątpiewać.

Znanych jest wiele wypadków takich, iż jedyną nagrodą za ubicie lisa, kuny i t. p. drapieżników, jest tylko przez tegoż zdobyta skórka. Jasną jest więc rzeczą, iż w ten sposób i to przy braku zamiłowania do myślistwa, które właściciel łowiska nieodpowiednimi dyspozycyami jeszcze podtrzymuje, leśnika naszego poniekąd zniewala się do hodowania drapieżników przez lato całe, ażeby zimą z nich dobre ściągnąć futro. Wiele tacy wychowańcy zjedzą do czasu tego zwierzyny i wielu z nich ujdzie strzału zimową porą, łatwo się domyślić.

W pewnym obszernym rewirze, znanym nam dokładnie od lat wielu, który niedawno przeszedł w inne niewłaściwe posiadanie, a gdzie lisa nie widziano od dawna, skutkiem fałszywych premji strzałowych, nagromadziła się taka ich ilość, iż stały się plagą, nie tylko wszystkich okolicznych bażantarni, ale i kurników.

Przez odpowiednie unormowanie premii można i temu zapobiedz i dać leśnym naszym sposobność wykonania myślistwa przez rok cały z obopólnym pożytkiem.

A teraz weźmy pod rozwagę najważniejszy punkt — kłusownictwo, ową plagę naszych łowisk — Przecież do tępienia jej jest przedewszystkiem upoważniony nasz leśnik i z pewnością nie ma właściciela rewiru, któryby nie tylko w kontrakcie śledzenia tychże sobie nie zastrzegł, ale ścigania do ostatecznych granic nie kładł na obowiązek i na sumienie przy każdej nadarzającej się sposobności. Wyznaczył też pewno premią 20 a może nawet 50 Mk. za każde pochwycenie kłusownika. Ale wszystko to ze skutkiem bardzo wątpliwym przy tak jednostronnych zapatrywaniach. Leśnik taki wyskoczy z łóżka i pobiegnie rączo za defraudantem, gdy posłyszy siekierę w lesie, ale gdy huknie strzał w rewirze, nakryje głowę kołdrą, kalkulując nie bez słuszności, iż mu kości zdrowe milsze nad 20 marek.

Tylko pasyonowany myśliwy porwie się i pobiegnie w oczy spojrzeć każdemu niebezpieczeństwu dla miłej sobie zwierzyny — kto z nią „nic niema do czynienia i woli raczej, żeby nie była“, temu kłusownik w kniei jest jak kot na śpichlerzu, zostawi mu jeszcze dziurę we drzwiach, aby mógł nią wchodzić.

Terminologia łowiecka.

Kuropatwa i przepiórka.

(Dokończenie.)

III. Czynności.

Bić = głos wydawać, mówiąc o przepiórce.

Bicie = głos przepiorki.

Brykać = ulecieć. Kuropatwy brykają, kiedy niedotrzymawszy dobrze, porywają się całem stadem.

Cięgocić = głos wydawać.

Cieknąć, ciec = kuropatwy i przepiórki ciekną, tj. uciekają piechotą.

Cirykać = głos wydawać mówiąc o kuropatwie.

Dolegać = kuropatwy dolegają, przyczaiwszy się do ziemi, i kiedy je na bliski strzał zejść można.

Iść w pary = kiedy kuropatwy na wiosnę par szukają.

Kamieniem padać lub leżeć = gdy kuropatwy zapadłszy w jakie miejsce, nie ciekną dalej.

Krerać = głos wydawać, mówiąc o kuropatwie.

Paprzyć = grzebać po ziemi np. kuropatwy paprzą.

Przysiadać = mówiąc o kuropatwach, kiedy czując niebezpieczeństwo, przyczajają się do ziemi.

Rwać się, zrywać się = mówiąc o ptakach, kiedy wzlatują z miejsca, w którem siedziały; n. p. porwała się kuropatwa.

Skubać się = kuropatwy skubią się, tj. oczyszczają z siebie piasek, który z noclegu pozostał na nich między piórami.

Wyciec = ujść, oddalić się z pewnego miejsca; np. kuropatwy wyciekły, tj. poszły dalej z miejsca, w którem zapadły.

Zakopać się lub zasklepić się = zagrzebać się w śniegu, mówiąc o kuropatwie.

Zapadać = kiedy ptak wzruszony odleciawszy opodal na ziemi, usiada; n. p. kuropatwy pod górą zapadły.

Zwabiać sie = głos wydawać, mówiąc o kuropatwie i przepiórce.

Zaśnieżyć = dać się śniegiem zasypać, mówiąc o kuropatwie.

3. Słonka i bekas.

I. Nazwy.

Słonka = Scolopax rusticolo, die Schnepfe.

Bekas dubelt = Scolopax major, die Bekassine.

Bekas kszyk = Scolopas totana.

Bekas kulik = Scolopax arquata.

Bekas mały, ficlaus = Scolopax gallinula.

Bekas baranek = kszyk, od głosu, który wydaje latając przed wieczorem.

Dubelt = gatunek bekasa, dwa razy większy od kszyka; inaczej zwany bekasem funtowym.

Oblany = tłusty, mówiąc o bekasie i słonce.

Oporządzić = oskubać pióra z zabitego ptaka; np. oporządzić słonkę.

Patroszyć, wypatroszyć = wyjąć wnętrzności.

Wyparować = wypędzić; np. wyżeł bekasa wyparował.

II. Czynności.

Chrapać = głos wydawać mówiąc o słonce.

Ciąg = przelot słonek.

Ciągnąć = przelatywać; np. słonki ciągną po zachodzie słońca.

Kręczyć = głos wydawać mówiąc o słonce.

Przeswistuje = głos wydaje, mówiąc o słonce, bekasie, kuliku

4. Dzika gęś i kaczka.

I. Nazwy.

Gęś dzika = Anser ferus, die Wildgans.

Kaczka dzika, krzyżówka = Anas fusca, die Wildente, gatunek wielkich kaczek.

Cyranka = Anas querquedula, die Krickente.

Krzyżówka = gatunek wielkich, dzikich kaczek.

Klapak = młoda kaczka, która nie ma jeszcze piór wykształconych i latać nie może.

Lotka, podloty lub loty = młoda kaczka, gdy już piór dostanie i podlatuje.

Swistuła = największy gatunek dzikich kaczek.

Inne nazwy i właściwości.

Klucz = gdy gęsi dzikie ciągną stadem, tworzą figurę mającą kształt wideł, co się nazywa kluczem.

Kaczołostwo = polowanie na dzikie kaczki.

Majak = czołno okryte trzciną lub gałęziami, na którem myśliwi podpływają pod kaczki lub gęsi.

Oparzelisko = błoto trzciną zarosłe, niezamarzające, na którem w późnej jesieni dzikie kaczki się zbierają.

Wypiory = kaczki, które w czasie wyrastania nowych piór latać dobrze nie mogą.

Żerowna, żerna = tłusta kaczka dzika.

Zbieraki = dzikie gęsi, które późno do nas na wiosnę przylatują.

II. Części ciała.

Lustro = fioletowo-zielone pióra na skrzydłach u kaczek dzikich, kiedy zupełnie dorastają, wtedy myśliwi mówią, że kaczki dostały już lustra.

Szypuły = grube pióra u kaczek młodych.

Wiosło = noga dzikiej kaczki i gęsi.

III. Czynności.

Ciąg = przelot kaczek i gęsi.

Ciągnąć = przelatywać; ciągną czyli przelatują póki nie zapadną.

Deptać = popęd płciowy zaspakajać, mówiąc o kaczkach i gęsiach.

Gęgać = głos wydawać, mówiąc o dzikiej gęsi.

Kwakać = głos wydawać, mówiąc o dzikiej kaczce.

Ląg = czas wysiadywania i wylęgu.

Pierzyć się = kiedy kaczka i gęś gubią pióra i natomiast nowe im odrastają.

Wiosłować = pływać, mówiąc o dzikich kaczkach i gęsiach.

Zloty = zbieranie się dzikich kaczek i gęsi na oparzeliskach.

Ptaki użyteczne.

Ogólne ich nazwy, części ciała, czynności ich i wyrażenia przy polowaniu.

I. Nazwy.

Drobny — mały, mówiąc np. drobne ptaki.

Lotna zwierzyna — ptaki.

Nasadka — ptak siedzący na jajach.

Pisklę — młody ptak, zostający jeszcze w gnieździe.

Posadziej — ptak.

Przelotny — zowie się ptak, który na zimę odlatuje w ciepłe kraje, a na wiosnę nazad powraca.

Raby — ptak mający pióra różnego koloru.

Siadło — miejsce gdzie spoczywają ptaki.

Stado — gromada ptaków.

Wypiory — ptaki w czasie odrastania nowych piór, kiedy latać dobrze nie mogą.

Zwierzostan — ilość i gatunak zwierzyny lotnej.

Zwierzyna łowna, stołowa — zwierzę lotne jadalne. Ogólna nazwa.

II. Części ciała.

Gastrzyca — kuper wraz z kanałem odchodowym u ptaków.

Korale — mięsiste, czerwone wyrostki na głowie przy oczach niektórych ptaków.

Lotki — najgrubsze skrajne pióra w skrzydłach ptaków.

Loty — skrzydła ptaków.

Lustro — plama biała na barkach czyli stawach skrzydłowych ugłuszcza i także plama kształtu trójkąta na udach u cietrzewia; fioletowo-zielone pióra na skrzydłach u kaczek dzikich, kiedy zupełnie dorastają, wtedy myśliwi mówią, że kaczki dostały już lustra; także ogon bażanta.

Nadlotka — pióro najpierwsze w skrzydle u ptaka.

Patrochy — wnętrzndści ptaków.

Siodełko — pióra ciemnego koloru na skrzydłach ptaszych np. ptak siodłaty.

Suknia — pióra i szerść okrywająca ptaki, np. bażant ma piękną suknią.

Sterowe pióra — skrajne pióra w ogonie u ptaków.

Szypuły — grube pióra u kaczek młodych.

Ubrany ptak — piękne pióra na sobie mający np. kraska ubrana.

III. Czynności.

Biesiadować — mówi się o ptakach. które stale w pewnych miejscach przesiadują.

Ciąg — przelor ptaków.

Ciągnąć — przelatywać, zwierzyna leci t. j. ciągnie póki nie zapadnie.

Cieknąć, ciec — uciekają piechotą.

Deptać — popęd płciowy zaspakajać.

Dolegać — ptaki dolegają, przyczaiwszy się do ziemi.

Jechać — lecieć, mówiąc o ptakach.

Iść w pary — kiedy na wiosnę par szukają.

Kamieniem upaść — przypaść do ziemi, mówiąc o ptakach.

Kąpać się — gdy w piasku sobie dołki grzebią i w nich siedzą.

Kominek — przewrócenie się ptaka w locie.

Koziołkować — przewrócać się w powietrzu.

Ląg — czas wysiadywania i wylęgania się ptastwa.

Odlot — pora, w której przelotne ptastwo powraca do ciepłych krajów.

Parzyć się — popęd płciowy zaspakajać.

Pierzyć się — kiedy ptaki gubią pióra, a natychmiast nowe odrastają.

Przylot — czas powrotu na wiosnę przelotnych ptaków, odlot pora udania się ich do ciepłych krajów.

Przysiadać — mówiąc o ptakach, kiedy czując niebezpieczeństwo przyczajają się do ziemi.

Pławić się — mówi się, kiedy ptaki w powietrzu stoją w jednem miejscu lub wolne zataczają koła.

Paprzyć — kiedy grzebią ziemię i nią się obsypują.

Paprzysko — ziemia od ptaków zgrzebana gdzie żerowały.

Rwać się — kiedy wzlatują z miejsca w którem siedziały.

Skubać się — ptaki mianowicie kuropatwy skubią się t. j. oczyszczają piasek, który z noclegu pozostał na nich między piórami.

Szybować — mówiąc o ptakach krążących w powietrzu.

Zloty — czas zbierania się ptastwa.

Wiosłować — pływać, mowiąc o dzikich kaczkach i gęsiach.

Wyciec — ujść z pewnego miejsca; np. kuropatwy wyciekły t. j. poszły dalej z miejsca, w którem zapadły.

Wpaść się, wnęcić się — mówiąc o ptakach; np. żórawie wpasły się do gryki.

Zrywać się — patrz rwać się.

Zakopać, zasklepić się — zagrzebać się w śniegu mówiąc o kuropatwach.

Zapadać — kiedy ptak wzruszony odleciawszy opodal na ziemi usiada; np. kuropatwy pod górą zapadły.

Zchlubić — gdy jarząbek wabiony pozna nienaturalny głos i do wabnika nie przyjdzie.

Żerować — żywić się, na paszę wychodzić.

Zobać, zubać, dziubiąc jeść, mówiąc o ptakach ziarnem żyjących.

IV. Wyrażenia i właściwości przy polowaniu.

Barczyć, obarczyć — postrzelić ptaka w skrzydło.

Brykać — ulecieć, kiedy niedotrzymawszy, porywają się całem stadem.

Brodzić — polować po błotach na lotną zwierzynę.

Brzyć — ziarna, które się na przynętę ptakom sypią.

Cieknąć — pod sieć nadstawioną podchodzić.

Ćwik — ptak, którego podejść lub zwabić nie można.

Ciężki — tłusty, mówiąc o dropiu.

Głuszyć — zabijać ptaki, kolące piórkiem w tył głowy.

Kaczołostwo — polowanie na dzikie kaczki.

Łańcuch — kiedy ptaki ciekną jedna za drugą, mówią myśliwi, iż idą łańcuchem.

Nęcisko — miejsce, na którem strzelają się ptaki za pomocą przynęty.

Nęt, nęta, ponęta, przynęta — nazywa się to, czem można przynęcić ptaki. Do tego używa się stósownie przyrządzony pokarm, lub i nieżywe domowe zwierzęta i ptaki, albo wypchane z ptaków skóry.

Obarczyć, zbarczyć — postrzelić ptaka.

Oblany — ptaki, kiedy są tłuste.

Odbić — odpędzić jaką sztukę od stada, np. kuropatwa odbita.

Oparzelisko — błoto, trzciną zarosłe, niezamarzające, na którem w późnej jesieni kaczki się zbierają.

Opierzyć — postrzałem tak drasnąć ptaka, że się z niego pióra posypią.

Oporządzić — z zabitego ptaka oskubać pióra.

Ostrzelone ptaki — przez strzały płaszone, przez co stają się ostrożnemi, że się podejść nie dają.

Pieczna, pyszna — tłusta zwierzyna np. pyszna kuropatwa.

Ptasznictwo — myślistwo ptasze, łowienie ptaków.

Ptaszyniec, ptaszarnia, fugilert gaik, w którym ptaki chowają i chwytają.

Patroszyć, wypatroszyć — wyjąć wnętrzności z ptaka.

Przeoczyć — kiedy ptak przez sieć, albo przez oko sieci uciecze.

Rozbić — rozstrzelić ptaka na części.

Spaść z dymem — kiedy po wystrzeleniu do lotnej zwierzyny, takowa natychmiast spada.

Troczyć — ubite ptastwo zawieszać

na pętelkach u troczków przy torbie.

Umotać się — w sieci zaplątać się.

Ubrany — ptak mający piękne pióra na sobie.

Wyjagodzić — mówiąc o ptakach, kiedy te nie złapawszy się w sidła, powyjadały z nich jagody.

Zepsuty — mówią o ptaku przestraszonym, do którego nie raz już trafiono, a stąd podejść go na strzał trudno.

Żer lub żyr — pokarm ptaków.

Żerowisko — miejsce pobytu ptaków.

Zob, zobia — ziarna, które się ptakom jako przynęta w remizie ptaszniczej posypuje.

Zrzucić — ubić w lot ptaka np. myśliwy zrzucił jednę, dwie kuropatwy.

Homo animal.

Studjum antropologiczne

napisał

Wacho Koszlon.

Przetłomaczył na język ludzki *Feliks Sturnus Vulgaris.*



Kot niepoluje, człowiek zaś bardzowiele, poluje ciągle zimą i latem, w boru i w polu i po wszystkich miejscach, gdzie się da coś ułowić, poluje z strzelbą i bez, na zwierza i na drugiego człowieka... Zwierzę zabije i zje — swojemu koledze, człowiekowi zaś, jeżeli tylko może, żywcem skórę ściągnie z grzbietu.

Wiatru człowiek nie ma żadnego, do wytropienia kuropatwy posługuje się psem, do wyszukania innych stworzeń anonsu gazeciarskiego i przytem często, gdy mu chodzi o przepiórkę dostanie mu się wewiorka.

O nas zającach ma dziwne wyobrażenie, dla tego, że mniej sypiamy, jak on, nazywa nas »spiochem«. Gacha jak mnie »starym graczem«, chociaż na skrzypcach nie gram, do żadnego klubu, ni »koła« nie należę i ani »brycza« ani »szuetki« po całych nocach nie trapię.

Mówi też o nas, że nie »dotrzymujemy« — a my nie tylko całe lato w zbożu i kartoflach, ale nawet dotrzymalibyśmy słowa, gdyby chodziło o zredagowanie trzech numerów jakiej gazety — chociażby to był sam »Łowiec«.

Dziwniejsze są jeszcze inne jego obyczaje.

Człowiek należy do tych stworzeń, co nie jak my w swobodnym i nie krępowanym żyje małżeństwie, ale do tych zacofanych, co chodzą co wiosnę na pary, tylko, że nie jak u kuropatwy na jeden ląg, lecz już na całe życie. Stałej pory miłostek nie zna to stworzenie, czy ziemia mrozem ścięta, czy zielenią pokryta, to im na jedno. — Gachy uganiają się za »s k r o m n ą« samiczką podobnie, jak u naszego plemienia i stą-

czają o nią walki zacięte przez rok cały.

Jak to ta skromność wygląda i naczem ona polega, trudno objąć naszym rozumem zajęczym. Zdają się, iż w tym wyrażeniu »skrom« mają na myśli, gdyż sadło u nich bywa w wysokim znaczeniu. Z naszego skromu fabrykują w aptekach plastry, a z innych stworzeń robią palmin i margaryne i sprzedają za masło. Zdobytą samicę uprowadza zwycięzki gach do swojej kotliny i odtąd już samiec samicy, samica samcowi ślubuje wierność. My o takich ślubach i wierności pojęcia nie mamy.

Pewnego razu, a było to, gdy w latowy przybrałem się kożuch; ziele wszelkie zakwitło, słońce wysyłało promienie gorące w łaskawości swej dla wszelkiego stworzenia z nieba na ziemię. Wiosenne uczucia krążyły w żyłach. — Czułem się zmęczony całodzienną gonitwą i rywalizacyą z pięciu innymi gachami o względy urodziwej kotki i odpoczywając leżałem w kotlinie w zbożu gęstym. — Cisza była, — tylko komary brzęczały nad słuchami. Zdaleka dochodził brzęk kos i wesołe spiewy dziewcząt przy sianożęciu.

W tem w życie coś zaszurgało i zrobił się łomot, jakby kozioł uganiał kozę. Zboże ustąpiło pod gwałtownym naporem, kłosy nachyliły się i nagle wychylił się człowiek żeński, a tuż za nim w skokach kipiał człowiek męzki ciężko dysząc.

Dopadł ją. — Słychać było szamotanie, potem już tylko szept.

— Niech pan da pokój, niech pan nie całuje!

— A co ci to szkodzi.

— Wielmożna się dowie.

— Wielmożna się nie dowie, bo śpi jeszcze.

— Ale to grzech — niech pan całuje wielmożną.

— Głupiaś Kaśk, awielmożna jest stara, a tyś młoda. . . .

O mało w tej aferze nie straciłem życia przez roztratowanie.

Kogo skóra świerzbi temu radzę wygrzebać kotlinę przy miedzy granicznej, — byłem wtedy bardzo młody jeszcze, — dzisiaj już wiem, iż granicy strzedz się trzeba gorzej lisa — gorzej kucharza z rożnem. Przy granicy ludzie najbardziej się gryzą, a turzycę czy sierć za tę niezgodę płaci zwykle zwierz wszelaki,

Pomiędzy ludźmi nie trafia się zwada o żer lub napitek przy źródle. Przeciwnie woda u nich w małym znaczeniu; posponują nią, — myją się w niej, każą jej obracać tartaki i koła młyńskie. Jedzą też i piją wspólnie i zgodnie przy jednym stole, bo im to potrzebne do apetytu i trawienia, ale gdy chodzi o polowanie to nie życzą sobie nawet wróbla, co się gnieździ na drugiego wierzbie. Od granicy idzie każdy naprzód, ażeby wszystko odstrzelić, aby ściągnąć zwierzynę sąsiada, sadzą tam najsmaczniejsze jarmuże, sieją najrychlejsze oziminy, na granicy stawiają płoty i wyciągają fladry, siedzą strzelcy w dołach i na drzewach.

U nas w Dąbrowie przy granicy jest las, a przy niem piękna łąka smacznem okryta zielem, to też kicają tam ku wieczorowi przez całe lato szaraki, nawet i sarny od czasu do czasu, aby soczystej użyć wieczerzy.

Polowanie tutaj od właściciela dzierżawi aptekarz. Polowanie po tamtej stronie należy do gminy Ol-

szowki, a dzierżawi je od roku piwowar, oboje z pobliskiego miasteczka. Dawniej należoło ono również do tamtejszego aptakarza, ale gdy ten się pokłócił o jakieś końskie lekarstwo z wójtem, nastała nieprzyjaźń a dzierżawę przybito piwowarowi.

Odtąd skończyły się piękne czasy przygraniczne dla zwierzyny, skończyła się też przyjaźń tych dwuch miejskich ludzi, skończyły się miłe posiedzenia przy kieliszku i przy zielonym stoliku, a gdy łysy aptekarz zejdzie się przypadkiem z grubym piwowarem na ulicy w miasteczku, zaraz pokazują sobie odwrotne części ciała.

Na granicy ogłoszono stan wojenny i rozpoczęto budowę fortec.

Aptekarz przy samej miedzy granicznej wykopał dół tak kunsztownej konstrukcyi, tak zamaskowany perzem i chwastami, iż go o krok wypatrzeć było trudno.

Piwowar zaś czy z rozmysłem, czy przez przypadek ponad dołem tym w rozsochatym dębie nagałęzi ustawił sobie wygodną kazalnicę.

Do tych zasadzek chodzili ci ludzie miejscy wieczorem dość często, ale zawsze trafiało się tak, iż piwowar wchodził na swoje drzewo, kiedy aptekarz prowizora w aptece zastępować musiał, a aptekarz znów na czaty do dołu zachodził, gdy w miasteczku był targ lub jarmark i piwowarowi interesu opuścić nie było możebne. Aż pewnego wieczora inaczej się wydarzyło.

Leżałem właśnie na miedzy dobrze zakryty, gdy wczołgał się do dołu człowiek — aptekarz, a chwilę potem człowiek — piwowar z trudności wskrabał się pomiędzy gałęzie.

I tak w bezpośredniej bliskości siedziało trzech nas szczelnie przyczajonych, wzajemnie obawiając się odkrycia, nawet i oddech tamując w płucach.

Słońce zachodziło, cisza była jak zwykle ku wieczorowi — wiatr nie ruszył nawet listkiem na dębie. I spokoju tego nie miało przerwać tym razem nic zgoła, żaden strzał, żadna śmierć, a legowiska swego, jakby przeczuwając nagromadzone tutaj zasadzki, nie opuścił żaden zwierz, nawet ptak najmniejszy nie przefrunął.

Słońce zaszło, mgły zaczęły się po nad łąką unosić i pomrok wieczorny przysłaniał pomału wszystko jedną szarą oponą, gdy wreszcie zaszeleściało na dębie. Człowiek z dębu zabierał się do zejścia. — »Pewnie już dzisiaj nic nie wyjdzie« — mruknął, pokręcił się na gałęzi — szukał czegoś długo i pilnie w ubraniu i nagle z góry z pod konar dębu spłynął promieniem cienkim deszczyk ciepły a strumienie jego z dziwną precyzyą padały w dół na ukrytą tam łysinę.

Nie wiem co się potem stało, ale mnie jakoś tak mocno zaświerzbiał kożuch na combrze, że zapominając wszelkiej ostrożności kulać się po piasku zacząłem.



Pewien raz widziałem też człowieka z psem wdziwnej komitywie.

Było to w nocy, w czasie, gdy zimowa tursyca okrywała mi kożuch. Śniegiem okryte były pola wszystkie, jasno było jak we dnie, miesiąc szeroką, pucołowatą twarzą przypatrywał się z nieba, uśmiechając się dobrodusznie.

Mróz był tęgi, to też trudno było usiedzieć w jednym miejscu i kicałem z zagona na zagon, z pola na pole, szukając gdzieby coś dostać pomiędzy strugi, grzebałem za oziminką, lub biegałem po rowach, aby gdzieś coś znaleść do wystrzyżenia.

We wnętrznościach z głodu mi piszczało, jakby z flaków na skrzypce zrobiono struny, i muzykant wygrywał już na nich.

W tem od strony miasteczka posuwa się coś drogą, wolno i jakoś dziwnie kulawo; ciekawością wiedzony przybliżyłem się nieco.

Był to człowiek, nogi mu się plątały i przebierał nimi, jakby mu zawadzały, a tropy znaczyły się po śniegu, jak zająca, gdy kluczkuje. Za nim posuwał się z łbem spuszczonym, skurczony od mrozu, pies duży, chudy, kudłaty.

Drogi były zawiane więc śli polem gołem, jeden za drugim. Nagle człowiek potoczył się i padł — podniósł się i znów przysiadł. Z wysiłkiem wielkim stanął wreszcie — ale nie swoim zwykłym zwyczajem — we słupka — ale — na czterech. Słychać było jakieś tony — do ludzkich mało podobne. Członki jakoś dziwnie wypowiedziały mu służbę, tylko gęba wydawała oparę a żołądek pracował skwapliwie, wyrzucając ze siebie, co uważał, że ma za wiele.

Pies usiadł spoglądając ciekawie na czworonożnego kolegę, nareszcie znudzony długiem czekaniem, schwycił człowieka za przedni skok i wolno w stronę zabudowań folwarcznych go prowadzić zaczął.

Tak, tak; nawet człowiek jest raz pod wozem, raz na wozie.

Tymczasem miesiąc na niebie szedł dalej, — świecił i przypatrywał się wielką pucułowatą twarzą, uśmiechając się jakoś dziwnie...

Ludzkie zwyczaje trudno rozumem naszym objąć, — albo i ten na przykład.

Nie raz tak bywa, iż człowiek na swoim polu grzebie sobie kotlinę lat kilka, wygodną, obszerną, nie tylko w ziemi, ale i nad nią; a gdy ją wybudował tak wysoko, że i ptakowi ciężko do dachu podlecieć, to kotlinę tę nazywa pałacem W tem pałacu zamieszka, wyściele go miękko, jakby mchem, siercią różnych zagranicznych stworzeń, — w prowadza doń samice, dzieci spłodzi i odchowa, gości karmi i poji. Mieszka długie lata, — mieszka dziad, syn i wnuk; — aż i spętało go coś i rzuci to wszystko, jak żyd dziurawą skórkę zajęczą i opuści i dom gdzie się uchował i łan co go żywił i nie zakniazi nawet za tym wszystkiem:

Jeden człowiek taki siedział na polach, na których się urodziłem i odrosłem, były to obszerne, piękne łany, pszenica i buraki na nich, że nie trudno było się w nich ukryć zajączkowi. I głodu tam nie było. — Aż nagle naschodziło się dużo jakichś obcych ludzi z fajkami w gębie, zaczęli pola krajać, pałac rozbierać, z wieży porobili chlewiki i pełno małych czerwonych dowków, — jak muchomory. - A kiedy ukryty pod ostem patrzałem na te dziwy, — wszedł na mnie chłop stary — pochyły dziaduś w długiej sukmanie. —

Wyskoczyłem przerażony. »Hej, hej zajączku!« — wołał za mną — »posłuchaj, co ci powiem«. Chociaż chłopak głupi nieraz rzuci kamieniem za tobą, skotarek psem poszczuje, strzelec obsypie śrótem, charty wygonią i przez trzy granice przepędzą, ty pokochałeś kotlinę twoją, chociaż to tylko w ziemi wykopana jama i z przywiązaniem wracasz do niej, — nie porzucasz jej, boś ty nie dziedzic i pan, boś ty tylko kot marny. Byłem już daleko a on ciągle wołał: Hej! zajączku, zajączku.

Człowiek to dziwne zwierze . . .

Na rozkładzie.

W Brzóstkowie u p. dr. Hebanowskiego padło w jednym dniu na polowaniu w końcu listopada 390 zajęcy.

W Komorzu u pana Macieja Prądzyńskiego 14 stycznia 220 zajęcy. Królem polowania był p. Jan Brzeski z Mierzewa.

W Bardzie u pana Franciszka Czapskiego padło 20 grudnia 140 zajecy.

W Grzymisławicach i Białężycach u p. Sicińskiego i u pana Beyma padło 202 zajęcy.

W Szypłowie u pana Edmunda Taczanowskiego w dniach 8 i 9 stycznia ubito w 6 flint 320 zajęcy i 20 bażantów.

W Choryni u pana Władysława Taczanowskiego padło 550 zajęcy.

W Modrzu u pana Marcina Biedermanna 14 stycznia ubito 310 zajęcy.

W Iwnie u hr. Ignacego Mielżyńskiego odbyło się 7 stycznia polowanie tylko na bażanty, na rozkładzie 470 sztuk, królem hr. Włodzimierz Skórzewski z Czerniejewa.

Skrzynka do listów.

Ł. z K. Zapytanie.

Z pewnego pięknego parku hrabiego X w miesiącu Grudniu uciekł biały łabędź. Łabędź ten frunął może 20 kilometrów i usiadł na polu pewnego folwarku. Właściciel tegoż przechodził właśnie przez pole z strzelbą, spostrzegł ogromnego białego ptaka i zabił go sądząc, że ma dziką gęś przed sobą. Hrabia X dowiedział się o tem i skarży właściciela folwarku o odszkodowauie. Ponieważ posiadam łabędzie, proszę o odpowiedź Szanownych Czytelników prawników, czy mam prawo żądań odszkodowania w razie, jeżeli łabędź z parku ucieknie i zostanie zastrzelonym.

* * *

Redaktor pisma naszego wyjechał na kilka tygodni, w czasie tym zastępować go będzie p. Z. Pluciński, Lussówko p. Schlehen, do którego też należy adresować wszelkie przesyłki redakcyi się tyczące.

Treść pisma: Sprawy Towarzystwa Łowieckiego. — Protokół Walnego Zebrania. — Kilka słów o tępieniu drapieżników. — Pojedynek bez sekundantów. — Łowiec a leśnik. — Terminologia. — Homo animal. — Na rozkładzie. — Skrzynka do listów.

Za redakcję odpowiedzialny Z. Pluciński, Lussówko p. Schlehen.
Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.